

LEE CHILD

PODEJRZANY

Jack
Reacher



1

Mówi się, że wiedza to potęga. Im więcej wiedzy, tym więcej potęgi. Załóżmy, że znasz wygrywające numery loterii. Tak, wszystkie. Nie zgadywałeś, nie przyśniły ci się, po prostu wiesz, które wygrają. Co robisz? Biegiesz zagrać, nie? Skreślasz je i, oczywiście, wygrywasz.

To samo, jeśli chodzi o akcje. Załóżmy, że wiesz, co pójdzie w górę. Nie chodzi o przeczucie, o wewnętrzne przekonanie. Nie mówimy o trendach, procentach, plotkach, cynku. Nie, mówimy o wiedzy! Prawdziwej, solidnej wiedzy. Powiedzmy, że masz tę wiedzę. Jak ją wykorzystujesz? Czy to nie oczywiste? Dzwonisz do maklera. Kupujesz. Po jakimś czasie sprzedajesz i jesteś bogaty.

Tak samo jest z koszykówką. Z końmi. Ze wszystkim: z futbolem, hokejem, przyszłoroczną ligą baseballu, w ogóle z każdym sportem; jeśli możesz przewidzieć przyszłość, jesteś w domu. Żaden problem. I z Oscarami, i z Noblem, i z pierwszym śniegiem nadchodzącej zimy. Wszystkim.

Z zabijaniem też.

Załóżmy, że chcesz kogoś zabić. Jeśli chcesz kogoś zabić, z góry musisz wiedzieć, jak to zrobić. Nic w tym szczególnie trudnego, w końcu są sposoby, niektóre dobre, inne jeszcze lepsze. Większość ma swoje wady. Używasz zatem swojej wiedzy i wymyślasz coś nowego. Myślisz, myślisz, myślisz... i wreszcie wymyślasz coś doskonałego pod każdym względem.

Wiele uwagi poświęcasz podstawom. Doskonała metoda to metoda trudna, więc najważniejsze jest drobiazgowo przygotowanie. Ale dla ciebie to kaszka z mleczkiem. Nie masz żadnych kłopotów z drobiazgowym przygotowaniem. Żadnych, nawet najmniejszych. Bo jak inaczej? Z twoją inteligencją? Z tak perfekcyjnym wyszkoleniem?

Wiesz, że prawdziwe problemy pojawiają się po fakcie. Jak możesz zapewnić sobie bezkarność? Odpowiedź jest prosta: wiedza. Lepiej od wielu innych wiesz, jak pracują gliniarze. Ich służba nie ma dla ciebie tajemnic. Znasz szczegóły tej służby. Wiesz, czego szukają gliny, więc nie zostawiasz niczego, co mogłyby znaleźć. Myślisz o tym wielokrotnie, raz za razem, bardzo precyzyjnie, bardzo dokładnie, bardzo ostrożnie. Tak ostrożnie, jak skreśla się numery na kawałku papieru, kiedy wie się z całą pewnością, że przyniosą fortunę.

Ludzie mówią, że wiedza to potęga. Im więcej wiedzy, tym więcej potęgi. Właśnie ona czyni cię najpotężniejszym człowiekiem na świecie. Jeśli chodzi o zabijanie ludzi. I unikanie konsekwencji.

• • •

Życie polega na podejmowaniu decyzji, wydawaniu sądów snuciu, przypuszczeń i wreszcie nadchodzi moment, kiedy tak się do tego przyzwyczajasz, że podejmujesz decyzje, wydajesz sądy i snujesz przypuszczenia, choć tak naprawdę nie jest ci to do niczego potrzebne. Zaczynasz zastanawiać się, „A co, jeśli...?”. Spekulować, co też byś zrobił, gdybyś stanął przed problemem, przed którym stoi ktoś inny. Wchodzi ci to w nawyk.

Dla Jacka Reachera to nie był nawyk, tylko wręcz nałóg. To z jego powodu siedział samotnie w restauracji, gapił się na plecy dwóch facetów przy stoliku odległym o jakieś pięć metrów i próbował rozstrzygnąć, czy powinien ich tylko ostrzec, czy też posunąć się nieco dalej i połamać im ręce.

Problem należał do dziedziny dynamiki. W tej chwili dynamika miasta nakazywała, by nowiutka włoska knajpa w Tribecy, taka, jaką właśnie odwiedził, pozostawała praktycznie pusta do chwili,

gdy opisze ją recenzent kulinarny „New York Timesa” albo gość z „Observera” spotka tam sławę spędzającą w lokalu drugi wieczór z rzędu. Na razie nie zdarzyło się ani jedno, ani drugie, w restauracji ciągle było pustawo, co czyniło ją miejscem wręcz idealnym dla samotnego faceta, pragnącego zjeść kolację niedaleko mieszkania swojej dziewczyny, akurat dziś pracującej do późnego wieczora. Dynamika miasta. To ona sprawiła, że Reacher po prostu musiał tu być. I musieli tu być dwaj faceci, których obserwował. Ponieważ dynamika miasta nakazuje, by każde nowe, obiecujące przedsięwzięcie komercyjne wcześniej czy później doczekało się gości reprezentujących kogoś, kto zażąda trzystu doliczonym tygodniowo, za które skłoni się chłopców, by nie skorzystali z możliwości, jakie dają kije baseballowe i trzonki siekier.

Dwaj obserwowani przez Reachera faceci rozmawiali cicho ze stojącym przy barze właścicielem. Sam bar pełnił funkcje raczej symboliczne. Po prostu zagradzał jeden z rogów sali, tworząc przyjemny dla oka trójkąt ostrokątny o mniej więcej dwumetrowym boku. Nigdy nie miał pełnić funkcji praktycznych, nigdy nie miał usiąść przy nim ktoś mający ochotę na drinka. Jego zadaniem było przyciągnąć wzrok. Był miejscem, gdzie trzymano butelki. Stały na szklanych półkach w trzech rzędach, odbijając się w lustrach. Najniższą półkę zajmowała kasa i terminal kart kredytowych. Właściciel był niskim, nerwowym człowieczkiem. Skulił się w wierzchołku trójkąta, przylgnął plecami do szuflady na gotówkę. Splótł ręce na piersiach, jakby się przed czymś bronił. Reacher siedział przy stoliku, ale widział oczy tego faceta. Rozbiegane, wyrażające coś pośredniego pomiędzy niedowierzaniem a paniką.

Sala była duża, może dwadzieścia na dwadzieścia metrów, idealnie kwadratowa. I wysoka na sześć, siedem metrów. Sufit zrobiono z tłoczonej blachy, lekko matowej. Sam budynek liczył sobie przeszło sto lat i pewnie używano go do wszystkiego, co tylko można sobie wyobrazić. Niewykluczone, że zaczynał jako fabryka, okna miał wystarczająco duże i było ich wystarczająco wiele, by dopuścić światło do czegoś, co produkowano tu w czasach, gdy tutejsze domy wznosiły się najwyżej na pięć pięter.

Potem zapewne został sklepem, może nawet salonem samochodowym. Z pewnością był na to wystarczająco wielki. A teraz stał się włoską restauracją. Nie taką z obrusami w czerwoną kratkę na stolikach i domowym sosem, ale taką, której sam prosty, lecz awangardowy wystrój kosztował ze trzysta tysięcy dolarów, a posiłkiem nazywano siedem, osiem ręcznie zwijanych pierożków ravioli. W ciągu czterech tygodni Reacher jadł tu dziesięć razy i zawsze wychodził głodny, ale smak miały wystarczająco dobry, by chwalił je ludziom, a to o czymś jednak świadczyło, bo nie należał do smakoszy. Nazywała się Mostro, co, o ile znał włoski, oznaczało „Potwór”. Nie był pewien, do czego miało się to odnosić, z pewnością nie do rozmiaru dań, stwarzało jednak pewien nastrój, a w ogóle całe wnętrze o ścianach częściowo z jasnego klonu, a częściowo białych, z akcentami matowego aluminium, z pewnością nie było odpychające. Pracowali tu ludzie sympatyczni i pewni siebie. Z doskonałej jakości głośników wiszących wysoko pod sufitem płynęły dźwięki oper, puszcanych od początku do samego końca. Niefachowa opinia Reachera brzmiała: tak oto rodzi się doskonała reputacja.

Ale owa doskonała reputacja rodziła się powoli. Oszczędny awangardowy wystrój dopuszczał umieszczenie zaledwie dwudziestu stolików w sali o powierzchni czterystu metrów kwadratowych, ale przez te cztery tygodnie z dwudziestu zajęte były najwyżej trzy naraz, a zdarzył się też wieczór taki, że całe półtorej godziny spędził samotnie jako jedyny klient. Dziś towarzyszyła mu para siedząca pięć stolików dalej. Naprzeciw siebie, bokiem do niego, po przeciwnych stronach stołu, zajęli miejsca mężczyzna i kobieta. Mężczyzna był średniego wzrostu, piaskowy: krótkie piaskowe włosy, całkiem przyzwoite wąsy, jasnobrązowy garnitur, brązowe buty, kobieta była chuda i ciemna, ubrana w żakiet i spódnicę. Oparta o nogę stołu, przy jej prawej stopie, stała torba z imitacji skóry. Oboje mieli jakieś trzydzieści pięć lat, wyglądali na przepracowanych, zmęczonych i nieco zaniebanych. Widać było, że dobrze czują się w swoim towarzystwie, ale prawie się do siebie nie odzywali.

Za to faceci przy barze mieli sporo do powiedzenia. Co do

tego nikt nie mógł mieć żadnych wątpliwości. Stali zgięci w pasie, opierali się łokciami o bar, mówili szybko i przekonująco twardo. Właściciel stał przy kasie, zgięty jak oni. Zupełnie jakby wszyscy trzech opierali się wiejącej przez salę wichurze. Goście byli wzrostu o wiele więcej niż średniego, obaj mieli na sobie identyczne ciemne wełniane płaszcza, dodające im szerokości w barkach; wyglądali w nich na jeszcze potężniejszych, niż byli w rzeczywistości. Reacher widział ich twarze w lustrach za butelkami alkoholu. Oliwkowa skóra, ciemne oczy. Nie byli Włochami, raczej Syryjczykami lub Libańczykami, których arabską niechlujność wypełniły lata spędzone w Stanach. Pracownicy wyjaśniali punkt po punkcie. Ten po prawej wykonywał szerokie gesty ręką; łatwo było zrozumieć, że przedstawiał zniszczenia, jakie może wyrządzić wśród butelek kij do baseballu. Potem machnął z góry w dół, demonstrował łatwość zniszczenia wszystkich półek. „Starczy jedno uderzenie, koleś”. Właściciel był bardzo błądy, kątem oka raz po raz zerkał nas cenne półeczki.

Facet po lewej podciągnął rękaw płaszcza, postukał w zegarek i odwrócił się do wyjścia. Jego kumpel wyprostował się i ruszył za nim. Po drodze przeciągnął ręką po najbliższym stole, strącił z niego półmisek. Półmisek rozbił się na płytkach podłogi z głośnym trzaskiem, jakże niepasującym do unoszącej się w powietrzu operowej muzyki. Piaskowy facet i towarzysząca mu kobieta znieruchomieli, spojrzeli w bok. Obaj intruzi powoli zmierzali do drzwi; szli z podniesionymi głowami, pewni siebie. Reacher odprowadził ich wzrokiem, póki nie wyszli na ulicę.

Właściciel wyszedł zza baru. Przyklęknął, przesunął palcem po odłamkach półmiska.

— Wszystko w porządku?

Reacher nie skończył jeszcze zadawać pytania, a już uświadomił sobie, jak głupio brzmi. Właściciel tylko wzruszył ramionami i przybrał żalorny wyraz twarzy z tych na każdą okazję. Dłońmi zagarniał na kupkę odłamki porcelany. Reacher ześlizgnął się z krzesła, położył na podłodze serwetkę i metodycznie układał na niej okruchy półmiska. Odległa o pięć stolików para przyglądała mu się i na tym poprzestała.

— Kiedy wrócą?

— Za godzinę — odparł właściciel.

— Ile chcieli?

Facet wzruszył ramionami. Uśmiechnął się gorzko.

— Dostałem premię dla nowego klienta. Dwieście tygodniowo teraz, czterysta, kiedy zacznie się prawdziwy ruch.

— Będziesz płacił?

Właściciel posmutniał jak na zawołanie.

— Gdybym miał wybierać, wolałbym jednak pozostać w biznesie. Tylko że dwa rachunki w tygodniu raczej mi w tym nie pomogą.

Wąsaty gość i ciemna kobieta wpatrywali się w ścianę, ale słuchali, słuchali. Przez głośniki leciała aria w minorowej tonacji, diwa łkała cichym, żalonym głosem.

— Kim byli? — spytał Reacher. Cicho.

— Włochami raczej nie. Ot, śmiecie.

— Mogę skorzystać z telefonu?

Właściciel skinął głową.

— Znasz otwarty do późna sklep z materiałami biurowymi?

— Jest taki na Broadwayu, dwie przecznice stąd. Czemu pytasz? Masz do nich jakiś interes.

— Właśnie. Jakiś interes. — Reacher skinął głową. Wstał z kłęczek, przeszedł za bar. Nowiutki telefon stał obok nowiutkiej książki rezerwacji, wyglądającej tak, jakby ani razu jej jeszcze nie otworzono. Wybrał numer. Odczekał dwa uderzenia serca, póki słuchawki nie podniesiono półtora kilometra i czterdzieści pięter dalej.

— Halo? — odezwał się kobiecy głos.

— Cześć, Jodie — powiedział Reacher.

— Cześć. Co u ciebie?

— Kończysz już może?

W słuchawce usłyszał ciężkie westchnienie.

— Nie. To robota na całą noc. Sprawa skomplikowana prawnie, a opinię chcą na wczoraj. Przepraszam.

— Nic się nie martw. Mam coś do załatwienia, a potem chyba wrócę do Garrison.

— W porządku. Uważaj na siebie. Kocham cię.

Zdążył jeszcze usłyszeć szelest papierów i połączenie zostało przerwane. Odłożył słuchawkę, wrócił do stolika. Pod spodem od filiżanki espresso zostawił czterdzieści dolarów. Ruszył w kierunku drzwi.

— Powodzenia! — krzyknął na pożegnanie.

Właściciel, nadal tkwiący przy szczytkach półmiska, tylko lekko skinął głową, para przy odległym stoliku odprowadziła go wzrokiem. Reacher postawił kołnierz, poruszył ramionami poprawiając płaszcz, pozostawił za sobą operę. Przystanął na chodniku. Było po jesiennemu chłodno, wokół zapalonych latarni błyszcząły kręgi gęstniejącej mgły. Poszedł na wschód, w stronę Broadwayu. Wśród morza neonów szukał wzrokiem tego właściciela i odnalazł go; wąska wystawa oblepiona cenami wypisanymi na kawałkach świecącego kartonu przyciętego w gwiazdki. Wszystkie towary przecenione, co mu bardzo odpowiadało. Kupił małą metkownicę oraz tubkę kleju. Po czym skulił się, ciałem owiniął płaszczem i poszedł na północ, do mieszkania Jodie.

Jego wóz z napędem na cztery koła stał w podziemnym garażu domu, w którym mieszkała. Wyjechał rampą, skręcił w Broadway na południe, a potem na zachód, z powrotem do restauracji. Podjechał blisko, spojrzał przez wielkie okna. Halogenowe światła odbijały się od białej farby i jasnego drewna ścian. Klientów nie było, nikt nie siedział przy stolikach, a właściciel ukrył się za barem. Reacher odwrócił się, objechał przecnicę i zaparkował w niedozwolonym miejscu, u wylotu poprzecznej alejki, prowadzącej do kuchennego wyjścia. Wyłączył silnik, zgasił światła, usiadł wygodnie i czekał.

Dynamika miasta. Silniejsi terroryzują słabszych. Robili to od zawsze i będą robić w przyszłości, chyba że trafią na kogoś jeszcze silniejszego, mającego jakiś arbitralny, ludzki powód, by ich powstrzymać. Kogoś takiego jak Reacher, który przecież nie miał żadnych prawdziwych powodów, żeby pomagać facetowi, bo ledwie go znał. Nie wchodziła tu w grę żadna logika. Nic nie załatwiał. Tu, w siedmiomilionowym mieście, setki silnych

ludzi krzywdziło setki słabych. Może nawet tysiące. Właśnie teraz, w tej chwili. Nie miał zamiaru ich szukać. Nie miał zamiaru organizować jakiejś wielkiej kampanii, lecz nie zamierzał pozwolić, żeby coś takiego działo się przed jego nosem. Nie mógł tak po prostu odwrócić się i odejść. To by nie było w jego stylu.

Wyjął z kieszeni metkownicę. Wystraszyć tych dwóch to była tylko połowa roboty. Chodziło przede wszystkim o to, żeby się im wydawało, że wiedzą, kto ich wystraszył. Zatroskany obywatel występujący samotnie w imieniu jakiegoś właściciela restauracji to nic, zero, choćby na początku był bardzo dzielny i skuteczny. Nikt nie boi się samotnego obywatela, bo można go załatwić w kilku albo kilkunastu, a poza tym wcześniej czy później samotny zatroskany obywatel umiera albo się wyprowadza, albo po prostu przestaje go to wszystko obchodzić. Wrażenie robi wyłącznie organizacja.

Uśmiechnął się, przyjrzał metkownicy i postanowił sprawdzić, jak działa. Dla próby wypisał własne nazwisko, oderwał kawałek taśmy, przyjrzał mu się uważnie. REACHER. Siedem liter wybitych na białą na plastikowej wstążce, długiej na dwa i pół centymetra, może o włos dłuższej. No, to metka na pierwszego faceta będzie miała ze trzynaście centymetrów, a na drugiego ponad dziesięć. Idealny rozmiar. Reacher się uśmiechnął. Wydrukował dwa napisy, położył je obok siebie na siedzeniu pasażera. Metkownica drukowała na taśmie klejącej zabezpieczonej od spodu paskiem papieru, ale potrzebował czegoś lepszego i dlatego kupił klej. Otworzył małą tubkę, przekłuł metalizowaną folię plastikowym szpikulcem, przycisnął ją lekko, wypełniając końcówkę. Był gotów. Schował taśmę i tubkę do kieszeni, wysiadł z samochodu, ukrył się w cieniu i marznąc, czekał.

Dynamika miasta. Matka Reachera bała się miasta. Jej strach stał się częścią wpojonych synowi nauk. Powtarzała mu, że to „niebezpieczne miejsce”. Że na każdym kroku spotyka się „twardych, przerażających facetów”. On sam był wprawdzie twardym chłopakiem, ale jako nastolatek wierzył w każde jej słowo i ufał mu bezgranicznie. Szybko zorientował się, że mama ma rację, że ludzie na ulicach boją się, nie chcą, żeby zwracano na nich

uwagę. Trzymają się z dala od niego, wolą przejść na drugą stronę ulicy, byle się do niego nie zbliżyć. Robili to w sposób jawny, przez długi czas był pewien, że jakiś twardy, przerażający facet idzie tuż za nim, że czuje na karku jego oddech. Aż w pewnej chwili uświadomił sobie, że nie, że to on jest taki przerażający, że jego się boją. Było to jak objawienie. Przyjrzał się swojemu odbiciu w szybach wystawowych i zrozumiał, dlaczego tak się dzieje. Przestał rosnąć, gdy miał piętnaście lat, metr dziewięćdziesiąt pięć wzrostu i ważył sto kilogramów. Gigant. Jak większość nastolatków w owych czasach ubierał się w stylu włóczęgi. Wpojone mu przez matkę ostrzeżenie odbijało się w jego twarzy i oczach, nieruchomych, obojętnych. Boją się mnie. Ta myśl go rozbawiła, uśmiechał się, a wtedy ludzie ustępowali mu z drogi jeszcze szybciej. W jednej chwili dowiedział się, że miasto to miejsce jak każde inne i że na jednego człowieka, którego powinien się obawiać, wypada dziewięćdziesiąt dziewięć obawiających się jego. Używał tej wiedzy jako taktyki, a spokojna pewność siebie w ruchach i spojrzeniu podwoiła wywierany przez niego efekt. Po prostu dynamika miasta.

W pięćdziesiątej piątej minucie wyczekiwania wyszedł z cienia. Stał na rogu i oparł się o ścianę budynku restauracji. Nadal czekał. Znów słyszał operę; najcichszy szept muzyki, docierający przez pobliską szybę. Na ulicy hałasowały wpadające w kolejne dziury w jezdni samochody. Po przeciwnej stronie na rogu znajdował się bar, wentylacja działała na pełny regulator, bardzo hałaśliwie, mgła unosiła się wprost w blask neonów. Było zimno, ludzie przemykali chodnikami z nosami wtulonymi w szaliki. Reacher stał nieruchomo, oparty ramieniem o ścianę, z rękami w kieszeniach, przyglądając się płynącemu w jego stronę ruchowi ulicznemu.

Dwaj faceci pojawili się o czasie. Przyjechali czarnym mercedesem. Zaparkowali przy sąsiedniej przecznicy jednym kołem na chodniku, zgasły światła, przednie drzwi otworzyły się jak na komendę. Jak na komendę wysiedli, otoczeni powiewającymi połami szerokich płaszczy, otworzyli tylne drzwi, chwycili leżące

na tylnym siedzeniu kije baseballowe. Schowali je pod płaszczami, zatrzasnęli drzwi, rozejrzeli się, ruszyli przed siebie. Mieli do przejścia dziesięć metrów chodnikiem, przez ulicę, i kolejne dziesięć metrów do celu. Poruszali się swobodnie; wielcy, pewni siebie faceci idący swobodnym, długim krokiem.

Reacher odkleił się od ściany. Spotkał się z nimi, kiedy wchodzili na krawężnik.

— W alejce, panowie — powiedział.

Z bliska przedstawiali się rzeczywiście imponująco. Jako para wyglądali tak, jakby w pełni dorosli do sytuacji. Byli młodzi, nieco przed trzydziestką. I potężni, nabici twardym ciałem, które nie do końca jest mięśniami, choć nieźle spełnia ich funkcję. Szerokie szyje, jedwabne krawaty, koszule i garnitury kupione z pewnością nie z katalogu. Kije trzymali za główki przy lewym boku, przez kieszenie płaszczy.

— Kim do diabła jesteś? — spytał ten po prawej.

Reacher obrzucił go krótkim spojrzeniem. Pierwszy, który się odzywa, jest w grupie osobnikiem dominującym, a w sytuacji jeden na dwóch tego dominującego załatwia się najpierw.

— Kim do diabła jesteś?

Reacher zrobił krok w lewo i odwrócił się nieco, blokując chodnik, kierując ich w alejkę.

— Kierownik finansowy — powiedział. — Chcecie forsy? Mogę ją wam załatwić.

Facet zastanawiał się przez chwilę, a potem skinął głową.

— W porządku, ale pieprzyć alejkę. Załatwimy to w środku. Reacher potrząsnął głową.

— To nielogiczne, przyjacielu. Płacimy ci za to, żebyś trzymał się z dala od restauracji. Od tej chwili zaczynając. Zgoda?

— Masz forszę?

— Jasne. Dwieście dolców.

Stanął przed nim i poprowadził ich w alejkę. Powitała go para, buchająca z kuchennych wentylatorów. Pachniała włoską kuchnią. Deptał śmiecie i gruby żwir, echo jego kroków odbijało się od ścian ze starej cegły. Zatrzymał się i obrócił; zniecierpliwiony facet, mocno zdziwiony tym, że nie idą za nim. Widział ich

sylwetki na tle czerwonej poświaty ulicznego światła, które dla przechodniów lada chwila miało zmienić się na zielone. Widział, że spojrzeli najpierw na niego, a potem na siebie nawzajem. No i ruszyli naprzód, ramię w ramię. Weszli w alejkę. Nie musieli się niczym przejmować. Wielcy, pewni siebie faceci, kije baseballowe pod płaszczami, dwóch na jednego. Reacher odczekał moment i w jednej chwili przekroczył ukośną granicę między światłem i cieniem. I znów się zatrzymał. Usunął się na bok, jakby chciał, żeby go wyprzedzili. Prosta grzeczność. A oni podeszli bliżej. Powoli, lecz jednak.

Faceta po prawej Reacher uderzył łokciem w skroń. Zgodnie z wymaganiami biologii. Najogólniej mówiąc, ludzka czaszka jest twardsza od ludzkiej pięści. Jeśli dojdzie do ich zderzenia, ucierpi przede wszystkim pięść. Łokieć jest lepszy. A skroń jest lepsza od czoła czy potylicy. Ludzki mózg jest w stanie znieść przesunięcie przód—tył dziesięciokrotnie lepiej niż przesunięcie na boki. Z jakiś skomplikowanych ewolucyjnych powodów. No więc łokieć, no i skroń. Cios był mocny, krótki, dobrze zadany, ale trafiony jeszcze dobrą sekundę stał na gumowych nogach. Potem puścił kij, który przeleciał przez płaszcz i uderzył główką w beton alejki z donośnym łupnięciem. Reacher uderzył po raz drugi, tym samym łokciem, w to samo miejsce. Ten sam trzask. Facet padł, jakby ktoś otworzył mu pod nogami zapadnię.

Jego kumpel prawie wyrobił się w czasie. Złapał kij prawą ręką, potem lewą. Zdołał wyciągnąć go spod płaszcza, nawet się nim zamachnąć, ale popełnił błąd, który popełnia większość ludzi: odciągnął kij o wiele za daleko i o wiele za nisko. Zamierzał uderzyć z wielką siłą w środek ciała przeciwnika. Nie powinno się tego robić z dwóch powodów. Wielki zamach zabiera wiele czasu, a przed uderzeniem w środek ciała łatwo się obronić. Lepiej mierzyć albo wyżej, w głowę, albo niżej, w kolana.

Sposobem na skuteczne uniknięcie ciosu kijem baseballowym jest skrócenie dystansu do atakującego możliwie jak najwcześniej. Siła uderzenia jest wynikiem masy samego kija pomnożonego przez przyspieszenie, jakie mu się nadaje. Prosta matematyka. Pęd to z kolei iloczyn masy prędkości. Na masę kija niewiele

da się poradzić, kij będzie ważył dokładnie tyle samo niezależnie od tego, gdzie go się zanieś. No więc trzeba oddziaływać na prędkość. Trzeba zbliżyć się do wykonującego zamach i przejąć inicjatywę dokładnie w chwili, w której ten zamach się kończy. Kiedy kij dopiero zaczyna przyspieszać. Kiedy ciągle jeszcze porusza się bardzo powoli. To dlatego wielki zamach jest złym pomysłem. Im bardziej się odchylisz, tym później zaczniesz nadawać mu przyspieszenie. Tracisz czas.

Reacher był jakieś ćwierć metra od przyspieszającego kija. Obserwował jak zatacza łuk, po czym złapał go obiema dłońmi nisko, przed własnym brzuchem. Ćwierć metra nic nie daje, już klaps jest gorszy. No i pęd, jaki stara się nadać broni ktoś nią walczący, staje się bronią, której można użyć przeciwko niemu. Reacher obrócił się, szarpnął kijem, poderwał w górę jego rączkę, pozbawił faceta równowagi i kopnął go w kostkę. Wyrwał mu kij. Dźgnął. Dźgnięcie to doskonały pomysł, w odróżnieniu od uderzenia. Facet padł na kolana, wałnął głową w mur restauracji. Reacher kopnął go jeszcze w plecy, przykucnął przy nim, przycisnął mu gardło kijem, przydepniętym z cieńszej strony, ścisnął prawą ręką od tej grubszej. Lewą ręką dokonał przeszukania. Zdobył pistolet powtarzalny, gruby portfel i komórkę.

— Od kogo jesteście? — spytał.

— Od pana Petrosjana — sapnął facet.

Nazwisko nic mu nie mówiło. No, owszem, słyszał o radzieckim szachiście Petrosjanie i niemieckim czołgicie z ostatniej wojny, Petrosjanie, ale żaden z nich nie zajmował się wymuszeniami w Nowym Jorku.

Uśmiechnął się z niedowierzaniem.

— Petrosjana? To chyba jakiś żart!

Dopilnował, by jego głos brzmiał odpowiednio kpiąco, jakby z całego spektrum przerażających rywali, spośród wszystkich, którzy przyszli mu do głowy, ten był tak nieważny i malutki, że praktycznie niewidzialny.

— Kpisz sobie, co? Petrosjan? Czy on oszalał?

Pierwszy z napastników zaczął się poruszać. Poruszał rękami i nogami, przesuwając je, szukał dla nich oparcia. Reacher na

chwilę przycisnął kij, a potem oderwał go od szyi drugiego faceta i przyłożył pierwszemu w czubek głowy. Kij wrócił na miejsce w półtorej sekundy. Drugi facet zaczął się dławić pod ciężarem drewna na szyi, pierwszy leżał bezwładnie. Nie tak, jak w kinie. Trzy uderzenia w łeb i nikt nie będzie walczył dalej, tylko przez tydzień rzygał. I z trudem utrzymywał się na nogach.

— Mamy wiadomość dla pana Petrosjana — powiedział cicho Reacher.

— Jaką? — sapnął ten nadal przytomny.

Reacher znów się uśmiechnął.

— Ty jesteś wiadomością. — Sięgnął do kieszeni po metki i klej. — A teraz... ani drgnij.

Drugi facet ani drgnął. Pomacał się po szyi, to wszystko. Reacher zdarł z folii pasek papieru zabezpieczający warstwę kleju, dodał grubo kleju z tubki i przylepił metkę na czole leżącego. Przesunął po niej palcem dwukrotnie, mocno.

Na metce widniał napis: „Mastro’s już ma ochronę”.

— Ani drgnij — powtórzył.

Zabrał kij, podszedł do pierwszego, nieprzytomnego faceta. Złapał go za włosy, odwrócił jego twarz i nie szczędząc kleju, jemu też nalepił na czoło metkę, tym razem z napisem „Nie opłaci się wam wojna o terytorium”. Jemu też sprawdził kieszenie, z niemal identycznym skutkiem: powtarzalny pistolet, portfel, komórka. Plus kluczyki do mercedesa. Odczekał, aż facet znów zaczął się ruszać, po czym spojrzął na jego kumpla. Prawie udało mu się podnieść, w każdym razie klęczał i próbował zdrapać metkę.

— Nie zejdzie — poinformował go uprzejmie. — A jeśli nawet, to zabierze ze sobą sporo skóry. Najpierw przekazcie wyrazy uszanowania panu Petrosjanowi, potem jedźcie do szpitala.

Odwrócił się i resztę kleju wycisnął na dłonie pierwszego faceta. Przycisnął je do siebie, odczekał dziesięć sekund. Chemiczne kajdanki. Złapał go za kołnierz, podniósł, przytrzymał i czekał, aż przypomni sobie, co to znaczy stać. Kluczyki rzucił drugiemu facetowi.

— Zdaje się, że tobie przyszło prowadzić — powiedział. — Wynocha stąd.

Facet po prostu stał, patrząc to w prawo, to w lewo. Reacher potrząsnął głową.

— Nawet o tym nie myśl. Bo wyrwę ci uszy i dam do zeżarcia — ostrzegł. — I jeszcze jedno: nie wracajcie tu. Nigdy. Albo wyślemy kogoś znacznie gorszego ode mnie. W tej chwili jestem waszym najlepszym przyjacielem. Rozumiecie? Czy wyraziłem się wystarczająco jasno?

Facet pogapił się na niego jeszcze chwilę, po czym ostrożnie skinął głową.

— No, to w drogę.

Ten ze sklejonymi dłońmi nie bardzo mógł się poruszać. Właściwie to nawet nie mógł. Drugi miał poważny problem z udzieleniem mu pomocy. Brakowało mu wolnego ramienia. Przez sekundę zastanawiał się, co robić, a potem przykucnął. Wyprostował się pomiędzy zlepionymi rękami, praktycznie wziął kumpla na barana. Powoli ruszył przed siebie, przystanął przy wyjściu z alejki; płaska sylwetka rzucona na tło ulicznych świateł, zgarbił się jeszcze bardziej, skrzył i znikł.

Reacher został z dwoma berettami M9 w ręku. Dziewięciomilimetrowymi, wojskowymi. Nosił identyczną broń przez trzynaście długich lat. W M9 numer seryjny tłoczony jest na aluminiowej ramie, zaraz pod słowami Pietro Beretta wygrawerowanymi na zamku. Numery obu pistoletów zatarto. Ktoś użył pilnika z okrągłym czubkiem, pracując nim w kierunku od lufy do osłony spustu. Niezbyt elegancki kawałek roboty. Oba magazynki były pełne, lśniły miedzią amunicji Parabellum. Rozłożył beretty w ciemności. Magazynki, zamki i pociski wylądowały w pojemniku na śmieci stojącym przy drzwiach kuchennych. Resztę rzucił na ziemię, nasypał do środka żwiru i ściągał spusty raz za razem, póki nie zatarł mechanizmów. One też powędrowały do śmieci. Telefony zmiażdżył kijami baseballowymi i zostawił, gdzie leżały.

W portfelach znajdowały się karty kredytowe, prawa jazdy i gotówka, w sumie ze trzysta dolców. Gotówkę schował do

kieszeni, portfele kopnął w ką. Potem wyprostował się, odwrócił i wyszedł uśmiechnięty na ulicę. Rozejrzał się. Ani śladu czarnego mercedesa. Wóz znikł. Wrócił do opustoszałej restauracji. Orkiestra grała donośnie, tenor zbierał siły przed heroicznym wysokim C. Właściciel siedział za barem zamyślony. Podniósł wzrok. Tenor dopiął swego, a skrzypce, wiolonczele i kontrabasy natychmiast pospieszyły jego tropem. Z pliku dalców Reacher wyjął dziesiątkę i rzucił ją za bar.

— To za półmisek, który stłukli — wyjaśnił. — Zmienił zdanie.

Właściciel popatrzył na dychę bez słowa. Reacher odwrócił się i wyszedł. Zobaczył parę z restauracji. Stała po przeciwnej stronie ulicy i patrzyła w jego kierunku: wąsaty facet i ciemna kobieta z teczką. Stali otuleni płaszczami i gapili się na niego. Podeszedł do terenówki, otworzył drzwi, wszedł, włączył silnik. Obejrzał się przez ramię, sprawdzając, czy może włączyć się do ruchu. Nadal się gapili. Ruszył. Dodał gazu. Przy następnej przecznicy spojrzął w lusterko. Ciemna kobieta z teczką zeszła z chodnika i wyciągnęła szyję. Gapiała się.

A potem znikła za kurtyną neonowego blasku i już jej nie widział.

2

Garrison leży na wschodnim brzegu Hudsonu, w głębi hrabstwa Putnam, nieco ponad dziewięćdziesiąt kilometrów na północ od Tribeki, licząc odległości drogowe. Późnym jesiennym wieczorem ruch nie był problemem. Rząd automatów do opłaty za przejazd, na pasach pusto, możesz wyciągnąć każdą średnią, jaką odważysz się wyciągnąć. Ale Reacher prowadził ostrożnie. Pomysł odbywania regularnych podróży z punktu A do punktu B ciągle był dla niego nowością. Prawdę mówiąc, nowością było dla niego mieć jakieś A i jakieś B. W niezmiennym, zawsze takim samym otoczeniu czuł się obco i jak każdy czujący się obco człowiek zachowywał ostrożność. Toteż prowadził akurat tak szybko, by nikt nie zwracał na niego uwagi, pozwalając i z prawej, i z lewej wyprzedzać się eleganckim samochodom spóźnialskich. Przejechanie nieco ponad dziewięćdziesięciu kilometrów zajęło mu godzinę i siedemnaście minut.

Na jego ulicy było bardzo ciemno, bo znajdowała się daleko od centrum, praktycznie na wsi. Kontrast ze sztucznym blaskiem miasta nie mógł być bardziej uderzający. Zjechał w drogę dojazdową do domu; reflektory samochodu ślizgały się po gęstej roślinności zarastającej z obu stron pasmo asfaltu. Liście schły już i brązowały, w elektrycznym świetle wydawały się nierealne, baśniowe. Wyjechał z ostatniego zakrętu. Ostre promienie światła jego terenówki prześlizgnęły się po bramie garażu... i dwóch czekających na niego, zaparkowanych tyłem do bramy samochodach.

Wcisnął hamulce z całej siły, panicznie. W tym momencie zapłonęły reflektory, oślepiając go, a jednocześnie blask identycznych reflektorów odbił się w lusterku. Reacher uchylił się, zdołał dojrzeć biegnących ku niemu z obu stron ludzi z potężnymi latarkami, rzucającymi przed siebie chwiejne promienie światła. Spojrzał za siebie. Dwa kolejne samochody hamowały tuż za nim; ich reflektory oświetliły ziemię, podskoczyły. Z nich także wybiegli ludzie. Terenówka tkwiła unieruchomiona, uchwycona w sieć jaskrawego blasku, przecinaną sylwetkami to pojawiających się, to niknących w mroku postaci. Postaci uzbrojonych nie tylko w latarki, postaci z kamizelkami na kurtkach. Otaczały go. Z bliska dostrzegł, że niektóre z latarek przyłączone były do luf. Zaciskający się krąg oświetlały reflektory samochodów. Znad rzeki nadpłynęła mgła, wisiała w powietrzu, promienie światła cięły ją, krzyżowały się, rysowały skomplikowane, poziome, dwuwymiarowe wzory.

Jedna z postaci podeszła do jego terenówki. Pojawiła się dłoń zaciśnięta w pięść, zastukała w szybę tuż obok jego głowy, rozluźniła się i stała po prostu dłonią, małą, bladą, smukłą. Kobiecą. Światło latarki padło wprost na nią. Dłoń trzymała odznakę. Odznaka miała kształt tarczy i kolor złota. Na jej szczycie przysiadł orzeł z łbem obróconym w lewo. Przynurła się bliżej i Reacher mógł już odczytać wytłoczone na niej słowa, złote na złotym tle. Zagapił się na nie. „Federalne Biuro Śledcze. Departament Sprawiedliwości Stanów Zjednoczonych”.

Kobieta przycisnęła odznakę do szyby, rozległo się ostre, metaliczne brzęknięcie. Zawołała coś. Usłyszał jej głos dobiegający z cienia.

— Wyłącz silnik! — krzyknęła.

Reacher nie widział nic, z wyjątkiem promieni oślepiającego światła. Wyłączył silnik i teraz także nic nie słyszał, z wyjątkiem zgrzytu deptanego butami żwiru podjazdu.

— Połóż obie dłonie na kierownicy!

Położył obie dłonie na kierownicy. Siedział nieruchomo, z odwróconą głową, wpatrzony w drzwi własnego wozu. Otwarto je z zewnątrz. Jednocześnie zapaliła się lampka na suficie, oświetlając sylwetkę ciemnej kobiety z restauracji. Tuż przy niej stał

facet z dużymi wąsami. Kobieta w jednym ręku trzymała odznakę, w drugim pistolet, z którego mierzyła w jego głowę.

— Wysiadaj — powiedziała. — Tylko grzecznie, powoli.

Cofnęła się o krok, śledząc lufą ruchy głowy Reachera, który obrócił się, oparł nogi na stopniu. Znieruchomiał z jedną ręką na oparciu, drugą nadal spoczywająca na kierownicy, pochylony tak, by móc lekko ześlizgnąć się z siedzenia. W świetle nadal włączonych reflektorów widział kilka postaci przed sobą, zdawał sobie również sprawę, że za plecami też ma ich kilka. Zapewne kilku ludzi znajdowało się w tej chwili blisko domu. I kilku na początku podjazdu. Kobieta cofnęła się jeszcze krok.

Reacher stanął naprzeciw niej.

— Obróć się — powiedziała kobieta. — Połóż ręce na dachu samochodu.

Posłusznie wykonał jej polecenie. Metal karoserii był zimny w dotyku i wilgotny od nocnej rosy. Dłonie obmacały każdy centymetr kwadratowy jego ciała. Wyjęły mu portfel z kieszeni płaszcza i skradzioną forszę z kieszeni spodni. Ktoś przechylił się nad jego ramieniem, wyjął kluczyki ze stacyjki.

— Podejść do samochodu! — krzyknęła kobieta.

Wyciągnęła rękę z odznaką. Reacher spojrział we wskazanym kierunku, zobaczył światła reflektorów ginące we mgle, mijające niespełna metr od jego nóg. Ruszył w kierunku jednego z samochodów stojących przed garażem. Za plecami usłyszał wydawany rozkaz: „Przeszukajcie jego wóz!”.

Przy samochodzie czekał już na niego facet w ciemnograna-
towej kevlarowej kamizelce. Otworzył tylne drzwiczki, odsta-
pił o krok. Na siedzeniu stała kobieca teczka z imitacji skóry; nędznej
imitacji, na plastiku niedbale naniesiono gruboziarnisty wzór.
Usiadł obok niej. Facet w kamizelce zatrzasnął drzwiczki po
jego stronie, a jednocześnie otworzyły się te drugie. Obok niego
usiadła ciemna kobieta. Płaszcz miała rozpięty, więc widział
bluzkę i kostium. Spódniczka była matowoczarna, krótka. Za-
szeleścił nylon, pojawił się pistolet, nadal wymierzony w jego
głowę. Z przodu do samochodu wsiadł wąsacz, klęknął na sie-
dzeniu. Sięgnął po teczkę. Reacher widział jasne włoski poras-

tające przegub jego ręki. Pasek zegarka. Facet otworzył teczkę, wyciągnął z niej plik papierów. Oświetlił je latarką. Kartki zapisane były ciasno, drobnym drukiem. Na górze pierwszej strony nazwisko widniało wyfluszczone nazwisko: Reacher.

— Nakaz przeszukania — wyjaśniła Reacherowi kobieta. — Twojego domu.

Piaskowy wysiadł, trzasnął drzwiczkami. W samochodzie zapadła cisza. Reacher słyszał kroki znikające we mgle. Przez krótką chwilę damska sylwetka rysowała się wyraźniej blaskiem padającym z zewnątrz, potem kobieta wyciągnęła rękę i włączyła wewnętrzną lampkę rzucającą ciepłe, żółte światło. Siedziała bokiem, obrócona do niego kolanami, opierając się plecami o drzwi, a bokiem o siedzenie. Ramię miała lekko zgięte, łokieć spoczywał swobodnie na tylnej półce; w ten sposób wygodnie trzymała wymierzony w niego pistolet. Sig-sauera, wielkiego, skutecznego i drogiego.

— Stopy płasko na podłodze — powiedziała.

Skinął głową. Dobrze wiedział, czego chce kobieta. On też opierał się plecami o drzwiczki od swojej strony, a teraz wsunął stopy pod przednie siedzenie. W tej pozycji, na pół obrócony, nie mógł poruszyć się szybko. Gdyby czegokolwiek spróbował, miałaby aż za dużo czasu, żeby rozwalić mu łeb.

— Ręce na widoku.

Wyprostował ramiona, zacisnął dłonie na zagłówku przedniego siedzenia, oparł brodę na ramieniu. Kątem oka obserwował lufę sig-sauera, nieruchomą jak skała. Za lufą widział palec, zaciśnięty na spuście. Za palcem twarz.

— W porządku. A teraz się nie ruszaj.

Twierz nie miała żadnego wyrazu.

— Nie pytasz, o co chodzi — zauważyła kobieta.

Nie może chodzić o to, co zdarzyło się godzinę siedemnaście minut temu — powiedział Reacher sam do siebie. Nie ma sposobu, żeby zorganizować coś takiego w godzinę siedemnaście minut. Nic nie mówił, siedział absolutnie nieruchomo. Niepokoiliła go biel kostki zaciśniętego na spuście palca. Wypadki się zdarzają.

— Nie chcesz wiedzieć, o co chodzi?